

665 **G**DYBY MI KTOŚ KAZAŁ WYBIERAĆ pomiędzy Fredrą a Blizińskim, zacząłbym się zastanawiać, czy jest to pytanie serio — czy tylko próba, nie dość zakamuflowana, wystrychnięcia mnie na przysłowiowego dudka. Cóż to bowiem za wybór, jeśli jedno nazwisko przypomina ojca komedii polskiej, podczas gdy drugie wiąże się ze średnio-zręcznym autorem przeciętnych komedijek?

Toteż, kiedy usiłuję w podobny sposób zestawiać np. Bałuckiego z Zapolską, czy Perzyńskim lub Rittnerem — zawsze opowiem się — na terenie komedii obyczajowej — za ostatnią trójką (i to w cytowanej kolejności) pozostawiając Bałuckiego na końcu tej listy. Oczywiście w przypadku, gdyby mi taką właśnie listę autorów przedstawiono. Nie sądzę zresztą, żebym odkrywał Amerykę i szokował swoim wyznaniem znawców komediiopisarstwa z końca ubiegłej epoki i początków naszego wieku.

Ale nie wdawajmy się w jałowe spory. Nikt chyba nie zaprzeczy, że najzręczniejszym warsztatem pisarskim z tego grona, na gruncie komediowym, zabłysnęli Perzyński i Rittner, zaś



największą drapieżność dramatyczną, połączoną ze zjadliwą satyrą społeczną (na owe czasy) wykazała Zapolska. Ona także umiała do komedii wpleść elementy bliskie francuskiej farsie bulwarowej — choć akurat na tym polu zabrakło jej galijskiego *esprit* a pozostała rubaszność galicyjska. I jeśli nawet pod względem ambicji literackich można Zapolskiej zarzucić pewne uchybienia natury intelektualnej, to przynajmniej parę komedii (*Dulska*, *Skiz*, *Ich czworo*) dałoby się zaliczyć do dramaturgii tego gatunku nie rezygnującej z ambitniejszego uję-

acz niedoskonałego, w sensie artystycznym. Że nie jest to Fredro, ani nawet Zapolska, wiedzą kierownictwa teatrów ponad wszelkie wątpliwości. A, że tkwi w Bałuckim — skromny, bo skromny — satyryk mieszczańsko-ziemiańskich przywar, niezupełnie obcych (choć inaczej dziś występujących) psychice społeczeństwa, więc od czasu do czasu trafia na scenę i poprzez scenę, jako farsopisarz łatwo przyswajalnych aluzji oraz aluzijek, które mianą ku widzowi na fali prostych skojarzeń tekstu „retro” z podtekstami całkiem współczesnymi.

JERZY BOBER

TEATR

BAŁUCKI i FARSA

cia satyrycznego problematyki obyczajowo-społecznej.

A Bałucki? No, właśnie — jak dzisiaj spojrzeć na tego krakowskiego autora popularnych komediofars (*Grube ryby*, *Dom otwarty*, *Klub Kawalerów*)? Jeśli wymieniam akurat te trzy sztuki z nieco dłuższego rejestru twórczości pisarza licznie i chętnie grywanego na przełomie XIX i XX wieku, to dlatego, że przebrnęły one również próg naszego stulecia — utrzymując się w repertuarach teatralnych po I i II wojnie światowej. Wprawdzie ostatnio coraz rzadziej, ale jednak nie zniknęły całkowicie ze scen krajowych. Myślę, że o obecności Bałuckiego w ojczystym teatrze współczesnym zdecydowały przede wszystkim braki rodzimej farsy bulwarowej. A w każdym razie czegoś pokrewnego,

NA TEJ ZASADZIE chyba wystawił Teatr Ludowy w Nowej Hucie mniej znaną od innych komedijkę Michała Bałuckiego „Cięgiełki czasu”. Osnową tej sztuki jest głupota, lokajstwo i snobizmy „zagraniczne” środowiska ziemiańskiego. Ubodzy duchem, a często zrujnowani materialnie, bohaterowie farsy prześcigają się w wydatkach (zastaw się a postaw się!) na przyjęcie jakiegos księcia, depcząc po drodze słabszych, schlebając możniejszym, intrygując i zapełniając swe życie publiczne (i osobiste) gadulstwem oraz pańskimi gestami — podczas gdy w istocie są grupką nierobów i karierowiczów. Ich farsowa głupota, ośpienie moralne — sięgają także w sferę uczuć i przetargów, choćby przy kojarzeniu małżeństw.

Czy jest to satyra na miarę Gogoła, jak na-

geruje tekst drukowanego programu teatralnego, śmiało wątpić. Mamy do czynienia raczej z serią obrazków krotkowilnych z życia starszych póglupków i młodszych bawidamków oraz pozerów prawiących do znużenia o „pracy dla ojczyzny” — bez pokrycia w realiach. Wszystko podlane sosem melodramatycznym w wątkach miłosnych, wedle schematu fars bulwarowych. Nie przeczę, że występują tu akcenty satyry społecznej — ale spłaszczony i rozmydlony w uproszczonych śmieszkach czy gagach. Do miary uogólnień gogolowskich droga jeszcze daleka. Tym niemniej komedijka Bałuckiego, w moim przekonaniu, z pewnością przerasta niewyszukany humor Naszego kawalerskiego Wieżana, pozycji granej na tej samej scenie, nie wiadomo właściwie na zasadzie jakiego wyboru repertuarowego.

CIEŻKIE CZASY przygotował dla Teatru Ludowego Kazimierz Witkiewicz. Dokonał cięć w tekście, zmienił jego układ i zagrał spektakl wedle kanonów farsowych. Tyle, że nieco zmodernizowanych pod widownię dnia dzisiejszego. Budzi tedy utwór Bałuckiego śmiech i chichoty wśród publiczności, aktorzy mrugają oczami do odbiorców, zwracając się często wprost do słuchacza — a na tle ich błaznad tu i ówdzie przedziera się moralizatorski ton (czy tonik) prawdziwej satyry. Czy ta dawka wystarczy, aby uznać pozycję sceniczną, godną ambicji artystycznych teatru rozbudzającego podniety umysłu i wyobraźni swojego widza, to inna sprawa.

Reżyser stara się wywiązać z roli zabawacza farsowego, jak może najlepiej. Trzeba przyznać, że akurat Witkiewicz zna tajemnice (?) powodzenia tego gatunku w teatrze i nie dopuszcza do nagminnego przekraczania granicy aktorskich przejąskrawień, skąd tylko krok ku szmirze oraz grze pod publiczność. Nie znaczy to, że niektórzy wykonawcy — zamiast umowności stylu farsowego — nie stosują chwytów gry uła-

twionej. Są one niewątpliwie pochodną braku obycia z francuskimi wzorami bulwarówek lub rodzimego nieurodzaju na tym gruncie, czy wręcz wynikają ze zbyt wąskiej sprawności warsztatowej. Co, oczywiście, obniża rangę nawet tak niewyszukanej rozrywki z morałem, jakim chce być relaksowe przedstawienie *Ciężkich czasów*.

NAJLEPIEJ radził sobie z konwencją farsową sam reżyser, jako odtwórca roli Zuryli, gospodarnego hreczkosieja, lekceważonego przez otoczenie nierobów, w czym sekundował mu jego sceniczny syn Karol (KRZYSZTOF GORECKI) w końcu szczęśliwy konkurent do ręki panny Lechickiej (ZDZISŁAWA WILKÓWNA), córki snoba (ANDRZEJ GAZDECZKA) i siostry Juliusza — nieopinia, zresztą granego bez lekkości i wdzięku przez MARIANA JASKULSKIEGO. Niezłą dyspozycję ośmieszania swego bohatera zaprezentował WIEŚLAW TOMASZEWSKI jako fanfaron Bajkowski i NINA REPETOWSKA, utrzymująca styl (czy styl) farsowy niezbyt enollowej, wiedeńskiej przyjaciółki Juliusza. Groteskową postać Kwaśkiewicza, pozującego na galicyjskiego lorda, wyposażył ANDRZEJ KOZAK w całe bugactwo zewnętrznego komizmu. Szkoda, że nie zawsze przestrzegal dyscypliny środków wyrazu. Natomiast rola jego syna Leonidasa (JERZY SZOZDA), acz zabawna w pomysle, choć naciągana pod współczesność w ubiorze hippiesa-trefnisia oraz sposobie mówienia, bardziej przypominała kłowniade, aniżeli nawet farsową próbę parodii z kabaretu Olgi Lipińskiej (pianista). Scenografie prawie naturalistycznych wnętrz dworskich projektowała ZOFIA BODAKOWSKA.

W sumie *Ciężkie czasy* nie wyszły wyraźniej poza ramy zabawy „z przystępem”, mimo ambitniejszych założeń pouczającej rozrywki, złączonej z chwilą zadumy nad... dziwną trwałością niektórych, szkodliwych dla narodu przez całe wieki, wynaturzeń pojęć i działań pewnych kręgów naszego społeczeństwa. Choć czasy się zmieniły.